

ZESZYT 7.

4 Kwiecień.

# ŚWIATŁO

ROK I

1920.



SANDRO BOTTICELLI.

<http://rcin.org.pl>

JUDYTA Z GŁOWĄ HOLOFERNESA

## Zmartwychwstanie życia.



Splot stosunków i warunków, w których dzisiaj trwamy, nie sposób nazwać życiem. Wszystkie piersi przygniótł mogilny kamień zbrodni, zalegalizowanego morderstwa, powszedniego wygładzania, powolnego konania milionów. Plugawy, bezwstydnny wyzysk i oszustwo zabiły wszystko co mogło trwać, wegetować chociażby w dotychczasowym stanie rzeczy. Zatracono różnicę między dobrem i złem, między podłością i bohaterstwem. Życie duszy zamarło. Zatrął je trupi zaduch istniejących stosunków społecznych. Na mogile starych form życia ucztuje jego owoc i kwiat: podłość i zbrodnia. Świecąc złotym blaskiem rozsiadły się one na grobowcach przeszłej świetności. Tryumfują, cieszą się ze swej władzy. Radują się ze śmierci ostatnich błysków życia. Owiane wonią krwi i nędzy, upajają się nagą, bezczelną zbrodnią.

Po starem życiu zostały jeno splugawione tęczniejszością wspomnienia.

Lecz życie jest niepokonalne. Wrzucone do mogiły, odradza się, rośnie w nowych, młodzieńczych kształtach, rozsadza kamienne płyty grobowców — wstaje z martwych potężne, świeże, tętniące siłą i zdrowiem.

I oto dziś, kiedy śmierć i rozkład, zda się, zapanowały nad życiem, w głębi społeczeństw dorasta, potężnieje nowa jego forma. Pod naporem nowych, młodzieńczych sił życia, drży skorupa zakrzepła, zbezczeszczona skorupa nawyków i przyzwyczajzeń. Jeszcze chwila i ustąpić musi nowej potędze — rozpryśnie się w proch, użyźniając glebę pod nowe siewy.

Ziemia wstrząsa się od gromów nadciągającej burzy. Ludzkość w największym napięciu wszystkich swych władz duchowych, czeka chwili rozstrzygnięcia. Nastąpienie nowej ery w historii ludzkości jest tak konieczne, tak jasne i zrozumiałe, jak widoczne są dziś dla każdego, odsłonięte z kryjących je dawniej szat: zgnilizna, zwyrodnienie — śmierć starożytności.

Burze wojny i rewolucji, wstrząsające światem, przynoszą zapowiedź i urzeczywistnienie tej nowej ery — ery Zmartwychwstania.

Jacyż aniołowie staną u rozwalonego grobu? Jakież niewiasty przyjdą składać hołd niezującym, a

staną w zdumieniu radosnem i trwodze, gdy postrzegą pustą mogiłę?

Obawa nieznanego, które ukrywa przyszłość, niewiara w moc człowieka do budowania własnego losu i losu społeczeństw, obojętność i rezygnacja wobec zachodzących zmian — ratują istnienie dzisiejszego ustroju. Nie wiele jest bowiem jego obrońców. Opiera się on na tych głównie, którzy obawiają się zmiany, lub zmiany tej nie mają siły pragnąć.

W ten mur obojętności i rezygnacji wali potężnym taranem obudzony do nowego życia człowiek pracy. Orle zapaly w nim żyją, wznieść się chce w najwyższe sfery ducha, a kark ma zgięty w niewolniczym trudzie. Wyżera mu oczy nędza, lecz serce rwie się do słońca bogactw kultury.

Uznojony w trudzie idzie człowiek pracy na spotkanie nowego życia. Nie schyla przed niczem czoła, bo waży w sercu całą swą czystość i całe swe znaczenie budowniczego fundamentów życia. Nie ustąpi nikomu z drogi, bo niema w nim winy i skruchy, gdyż pasowany jest na rycerza przyszłości przez trud nad siły, przez owoce swego wysiłku, stanowiące gmach nowoczesnej technicznej i duchowej kultury.

Nie korzystał z nich dotąd, nie żył jej zaczarowanym światem poezji, sztuki, nauki — lecz stworzył ją; ugruntowała się ona na jego barkach przygiętych, oparła się o jego niezmożone ramiona.

On — człowiek pracy — uderzy dziś w mogilne kamienie grobu życia. On nowe życie budzi z martwych. On też stanie na straży rozwalonego przez siebie grobowca.

A przyjdą wówczas nauka i sztuka, zniewolone dziś do wysługiwania się możliwym i postrzegą w radosnym oniemienu człowieka godnego ich twórczości. Postrzegą rozwaloną mogiłę i zmartwychwstałe nowe życie. Hołd mu złożą i czerpać zeń będą nieogarnięte uwielbienie, nieznanne dotąd skarby piękna, poczują wolność swej pracy myśli — nawiąże się, zerwana przez wieki nierówności klasowych, nić potężnego związku pracy myśli i mięśni.

Dzień ten idzie. Niech się więc radują nasze serca. Niech się wyrwa z naszych piersi radosny śpiew: Alleluja!

Z. Z.

# WYSPA ZAPOMNIENIA.



5) idział jeno ich przepyszne wyniosłe tarasy, górne zakręty i rozwidlenia, czarowne gniazda skalne wiszące w przestrzeni, a nad nimi nagie szczyty. Te strony kusily go dziwnym czarem. Nie dawały mu spokoju wyniosłe strzeliste szczyty. Przedostać się, wedrzeć się i być nareszcie tam pod obłokami, stanąć w obliczu nieznanego obrazu, napoić oczy bezmiarem oceanu.

Był przekonany, że stamtąd ujrzałyby jakieś dalsze, nowe krainy. Spodziewał się odkrycia tajemnic i cudów. Wreszcie chciał sprawdzić własnymi oczami to, co już wiedział z okrętowej karty — czy naprawdę wokoło jego wyspy, której nie było na żadnej mapie, jest tylko pustynią, czy naprawdę do ludzi daleko...

Ze światem się jeszcze nie pożegnał. Spodziewał się, że przecież wróci do ludzi kiedyś, jakoś. Nie rozważał i nie rozstrzygał, czy tego chce, czy nie chce. Wszystko było narazie tymczasowe, niepostrzeżenie szedł dzień za dniem. Było mu dobrze, spokojnie, jak nigdy. Ale jeszcze nie zgłębił własnego szczęścia. Nie wiedział o niem.

Nie mógł zapomnieć, że pozostał i żyje świat, ogrom ludzi i spraw, który istnieje od miliona lat i będzie trwał przez miliony. Że nie umorzyły się jego doczesne rachunki, że oddalił się tylko, że uszedł od świata, a nie zeszedł, wszak nie umarł jeszcze. Póki on żyje — żyje jego straszna przeszłość, stoi niewymazana w pamięci, choć już nie napastuje i nie dolega więcej od czasu gdy wola wichru i fali wyrzuciła go na ten brzeg.

Za niczem nie tęsknił, przeciwnie, z lubością przeklinał wszystko co za nim zostało. Jednak jego natura człowieka, urodzonego członka gromady, wiązała go jeszcze potężnie z resztą ludzkości. Wbrew jego wiedzy i woli żył w nim nieprzeparty instykt.

Zdarzały się godziny niepokoju, kiedy bez przyczyny i powodu budziły się w nim podejrzenia i dziwne nadzieje.

Zrywał się w podnieceniu i biegł na pobliskie wybrzeże.

Zdawało mu się nieraz, że słyszy stamtąd wołające głosy. Przylatały zdaleka od morza, zgłuszone, jak szepty, jak westchnienia. Biegł na ów głos z prze-

rażeniem i z radością, śmiejąc się ze swego złudzenia, a zarazem już widząc niewiadomych przybyszów.

Bywali to w czas niepogody rozbitki, a przy słońcu błędni żeglarze wielorybnicy, mierzący ocean wzdłuż i w poprzek bez żadnych dróg. Tacy, gdy im zastąpi drogę nieznaną piękną wyspą wstępują na chwilę nabrać wody, drzewa, najeść się zadarmo owoców. Zanim dobiegł już żałował, że nie pozostał w ukryciu, ale nigdy nie zdołał powstrzymać się w rozpędzie.

Wypadłszy z zarośli zawsze i niezmiennie zastawał ten sam znajomy, potężny obraz bezmiaru i pustki. Wówczas uśmiechał się z ulgą, uśmiechał się z goryczą, a jednak wydostawał lornetę i długo, nieraz w ciągu godzin „pracował oczami“ jak kiedy ongiś z przedniego masztu Treyanic’a z bocianiego gniazda, stojąc na straży, wypatrywał zdobyczy.

Znużywszy oczy składał lornetę i uspakajał się.

Pewnego razu w noc burzliwą, straszną dla żeglarzy na tym morzu ławic i raf, do samego świtu mozolił się i ściągał do kupy spróchniałe pnie palm i przysypane piaskiem szczątki swojego statku, podtrzymując na wybrzeżu wielki ogień. Usłyszał bowiem rozpaczliwe wycie syreny, wzywającej ratunku. A potem słyszał ostry głos dzwonu alarmowego i głuche echa strzałów petardy, obijające się pośród drzew i skał. Z wybrzeża widział strzeliste łuki rakiet sygnałowych, wzbijające się błagalnie ku niebu.

Przez całą noc wyla burza, ognisko szalało na wietrze, Jorg pracował, wbiegał daleko między płytkie fale i krzyczał do ciemności:

— Nie tutaj! w prawo bierz. W prawo wciąż! Jeszcze! Jeszcze!

Bo słyszał najwyraźniej jak szalupa z ludźmi, tłucze się głucho o rafy, ciężko szoruje dnem o żwir.

O świecie ujrzał wieczną pustynię wód. Na brzegu ani szczątku, ani strzępu, żadnego śladu po zagubionym okręcie. Omylił się, uległ złudzeniu. Świecąc przez całą noc, ratował swoją nadzieję.

W wędrówkach swoich nie myślał o ludziach, jednak zaglądając w nieznanne czeluście wyspy nieraz ulegał nagłemu wzruszeniu. Posłyszał dziwny szelest, jakiś szmer — i przenikał go dreszcz, że oto zaraz, natychmiast... Smętny, szyderyczy uśmiech, westchnienie ulgi i żalu.

Andrzej Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Rezurekcja.

— Józiek, leć po „kalichlorek“!

Twarz Józikowa roziskrzyła się radością. Już dogonił Franka i rozpytywał.

— Dużo masz pieniędzy? Złotówkę, oho, to ci narobimy pęczków. Mnie mówił Mikołaj, ile trzeba siarki domieszać, żeby najgłośniej strzelało.

— A ja mam starą skórkową rękawiczkę. W taki palec zawiązać, to jak z fuzji walił—wykrzykiwał Franek radośnie.

— To ci będzie strzelanie.

— Rany Boskie, nawet Kazik, taki bogacz, tyle pęczków nie będzie miał.

Biegli chłopcy po prawie pustej przybierającej świąteczny wygląd ulicy przedmieścia, a radość ogromna i niecierpliwość oczekiwania tego wielkiego wieczoru—rozsadzała im piersi. Zadyszał się Józek, który u szewca był w terminie, a nie służyło mu siedzenie przy kopycie i ciągle zapoznawanie się z pocięglą majstra.

— Czekaj Franek, nie leć tak, nie mogę—tchu muszę złapać.

Franek sfolgował. Jak tylko dostał od ojca złotówkę na „kalichlorek“ — nie myśląc o niczem, wyleciał do składu, by zdobyć upragniony materiał na pęczki. Teraz, gdy zwolnił biegu, raptem zaniepokoiła go myśl: —

Józiek, a co będzie jeśli aptekarz nie sprzeda?

— I, głupiś, powiesz, że dla matki do prania!

— A jak nie uwierzy?

— Co nie ma uwierzyć, co jemu, przecie go strażnik za rękę nie złapie.

Uspokoili Franka Józikowe słowa.

Byli już na rynku. Czworokąt starych kamienic, na środku odwieczna, napół rozwalona pompa z korbami, wszystko dzisiaj wyglądało jakoś odświeżnie.

Nawet przekrzywiona chorągiewka na pompie zarzewiałym zgrzytem śmiała się do chłopców.

Aptekarz nie przekomarzał się długo z Frankiem, dał mu paczkę „kalichloru“ „do prania“, zapakował do drugiej torebki siarkę i chłopcy z pełną dumą piersią wracali do domu.

Gdzieś na drugim końcu miasta zagrzmiął wystrzał.

— Słyszysz jak wali?!

— Jeszcze lepiej zagrzmiemy - zobaczysz!

Posłyszany strzał zerwał ich do biegu. Prędzej, prędzej nagliło coś obu.

Na rogu ulicy pod latarnią stał stary strażnik, i znudzonym wzrokiem spoglądał na przechodniów. Chłopcy, mijając go aż zadrżeli z radości. Takiemu pęczek z tyłu podłożyć i... bęc... niech goni potem.

Tylko, aby nie spudłował! Franek nie wytrzymał, zagrał na nosie w stronę stójkowego i zawołał:

— Panie stój, dzisiaj walimy!

Jakby w odpowiedzi na to z uliczki buchnął grzmot wiwatowego strzału. Stójkowy chwycił w rękę pochwę i niezgrabnie płacząc się w długich polach szynela, pobiegł szukać przestępcy. To Kazik—syn bogatego sklepikarza, próbował siły swych pęczków.

Prędzej, prędzej — nagliła chłopców niecierpliwość radości. Prędzej pomięszać z sobą proszki, prędzej zawiązać je w twarde pęczki, prędzej popróbować wystrzału!

A co to będzie wieczorem na Rezurekcji!

Dobiegali do swych mieszkań. Franek poczerwieniał od biegu. Józek błady ciężko dyszał. Zatrzymali się przed domem.

— Chodź, Józek, razem będziemy robić. Dam ci parę.

Do tej pory Józek cieszył się radością swego kolegi. Teraz poczuł radość własną: Będzie miał swoje pęczki;—pokaże jak się strzela!

Za chwilę na stole w izbie rodziców Franka, na rozpostartej szeroko gazecie odbywało się skrupulatne wymierzanie naparstkiem siarki i kalichloru. Recepta Józka, otrzymana przezeń od starszego brata Mikołaja, który był czeladnikiem ślusarskim i nawet rewolwer z rurki gazowej sam sobie zrobił, została przyjęta bez dyskusji.

Proszki zmieszano starannie i czapka zaczęła napelniać się węzełkami mieszaniny, powiązanej w różne skrawki materiałów, wyludzonych od Frankowej matki.

Osobno z wielkim poszanowaniem spoczęły cztery czarne, twarde jak kamyki, pęczki, zrobione z palców starej skórkowej rękawiczki; — piąty palec był do niczego, zbyt był podarty i poprzedcerany.— Nie mało nabiedził się Franek, jakby go tu naprawić, ale napróżno.

Tymczasem strzały rozlegały się coraz gęściej. W każdym prawie podwórzu chłopcy próbowali siły swych pęczków.

Lecz nie marnowali wszystkiego, główny zapas musiał być zachowany na wieczór.

Franek nie mógł wysiedzieć w domu. Korciło go zastawione na stole święcone, którego tknąć nie można, bo post jeszcze trwa do północy. Pieczona kiełbasa, w białym szmalcu leżąca na misce, szczególnie nie dawała mu spokoju.

Wybiegł w pole. Obleciał ogród i łąki. Sprawdził, że pola i wierzby już zielenią się prawie. Z pod obłoków zaśpiewał mu skowronek, — popatrzał za

nim, zgubił go gdzieś w przestrzeni. Raz, drugi strzelił „na próbę“... Nie mógł znaleźć sobie miejsca.

Kiedyż przyjdzie noc?!

Aż przyszła. Niespodzianie, nagle zasłoniła świat czarnym welonem. Przyszła cała tętniąca radosnymi wybuchami — pełna cudów, jedyna Wielka noc.

Franek z kieszeniami wypchanymi przez pęczki, stał koło Józika i przyglądał się [świętecznemu tłumowi, płynącemu zwartą falą w furte kościelnej zagrody.

Kościół jarzył się od światła.

Co chwila grzmiał potężny wystrzał — rozlegały się śmiechy i piskliwe krzyki spłoszonych dziewcząt.

Policjant gonił w tłumie spostrzeżonego sprawcę strzału — tłum nie dopuszczał go, odpychał.

Józik rozgorączkowanymi oczyma patrzył na stójkowego. Ten borykał się z tłumem i odgrażał się po rosyjsku.

— Ja mu podłożę — szepnął do Franka — i już nachylał się koło przedstawiciela władzy. Chwila jeszcze... podniesiony wysoko kamień pada na ciasny rękawiczkowy pęczek, wybucha ogień i straszny huk rozdziera powietrze.

Józika już niema. Strażnik ogłuszony dokonanym koło jego stóp wybuchem — napróżno stara się dostrzec sprawcę wystrzału. Złość więc wyładowuje na gromadce zachwyconych, śmiejących się chłopców. Ci rozbiegają się, oberwali coś nie coś pochwą stójkowego, chronią się na cmentarz. Tu strażnik nie wejdzie!

Zaśpiewały dzwonki. Pochyliły się w drzwiach kościelnych chorągwie. W niebo uderzyła pieśń zmartwychwstania cienkich, naprężonych głosów kobiecych, przy mocnym wtórze mężczyzn.

Do ogrójca wylała się procesja.

Strzały doszły teraz do najwyższego natężenia. Wybuchały raz po raz. Zlewały się w potężny, niemilkący grzmot, jakby ziemia pękała, rozlatywała się w tę noc Zmartwychwstania, by dać wolność swym pogrzebanym synom.

Franek wystrzelał już wszystkie swoje pęczki. Zmęczony, podniecony, radosny dał się nieść tłumowi. Patrzył w jarzącą się od światła, tonącą w dymie kadzideł i lekkiej gazy postać kanonika, niosącego skrzącą się milionami promieni, złotą monstrancję i serce rozpychała mu wielka, nieznaną radość upojenia. Wstrząsał nim raz po raz, gdzieś bliźutko dokonany wybuch; uśmiechał się doń radośnie, wchłaniał dym siarki i swąd tłących się szmat, upajał się niemi jak jakimiś najdoskonalszemi zapachami.

A tłum niósł go w potężnym uścisku, bezwolnego, radośnie oddanego jego fali.

\* \* \*

— Psiakrew, takie święta! Tam w domu uciecha dzisiaj, a ty leż w tem błocie i czekaj, jak wesz na grzebieniu, aż cię djabli wezmą!

— Trzeci ja już rok święta w polu spędzam.

— W okopie dzień dniu jednaki, niema tu u nas świąt.

Franek, wtulony w kąć okopowego legowiska, bronił się przed tymi głosami. Nie chciał budzić się ze słodkich marzeń. Bał się, iż postrzeże swą codzienną nędzę i upodlenie, swój siwy zawszony płaszcz, cuchnące, oblepiające nogi błoto, brud swego ciała i odzienia.

Pragnął marzyć jaknajdłużej, pragnął zagubić się w rozpamiętywaniu swych chłopięcych wydarzeń. Policzki paliła mu gorączka — owoc ciągłej wilgoci okopów i radosnej zjawy. Ale ta pierchła już. Silił się, aby wywołać ją z powrotem.

Nawiazywał z natężeniem przerwana nić wspomnień:

Wracał później do domu. Stół pełen jadła. Jaka smaczna ta przypiekana kielbasa!

Co to? Świece, trumna, a z niej wygląda blada twarzyczka. Któż to? Nie może sobie przypomnieć...

A, Józik od szewca! Zmarł jeszcze tejże jesieni, gdy przyszła plucha i zimno.

A to co? Nie chcę! — straszne. Ta krwa-wa maska. Kolega z sekcji, rozszarpany przez granat. Te kiszki pokłębione na wierzchu, jak czarne skrwawione wstęgi oplotły mu ciało!

...Matka goni go spać. Gdzież tu usnąć można w takiej radości. Jeszcze mu dźwięczą w uszach weselne strzały w procesji. Tu i owdzie ciszę głębokiej nocy jeszcze przerywa pojedynczy strzał. Tu i owdzie jeszcze wybija się w tym wybuchu radość Wielkiej Nocy. Rzedną strzały. Powoli następuje dzień spokojnego święta...

Nie, nie rzedną strzały. Potęgują się raczej, zamieniają się we wściekły ryk burzy. Niebo zapala się wybuchami ogni. Raz w raz opasuje horyzont łuk ognisty. Drży ziemia od wybuchów.

— Co to? Czy nowa Rezurekcja — nowe Święto Zmartwychwstania?!

Poczuł, że go ktoś gwałtownie porusza.

— No, zbudź się, Franek!

Po okopie siedł stłumiony szept: Atak, atak

Z. Rychłowski.

## Pisanki wielkanocne.



Jajko od prastarych czasów było związane z obrzędami religijnymi. Jako zamknięta całość, w której tkwi zaród przyszłego życia, jako miejsce, gdzie życie to rozwija się w szeregu cudownych przemian i staje się skomplikowanym bardzo i doskonałym organizmem, jajo było symbolem twórczego i organizującego działania ducha na materję, symbolem tworzenia się z trzech pierwiastków: męskiego, żeńskiego i materji ożywczej organizmu wyższego. Jeszcze dzisiaj w niektórych okolicach na Litwie jaja przetaczają na mogiłach, ofiarowując je zmarłym. Od niepamiętnych czasów jaja na Wielkanoc święcą się i w to uroczystości, związane z odrodzeniem i zmartwychwstaniem życia po śnie zimowym, gdy cała natura budzi się i rozwija, jajem święconym

jako najdoskonalszym symbolem tego życia, dziela się ludzie, składając sobie życzenia.

O jajach barwionych mamy pierwsze wiadomości u Wincentego Kadłubka.

Jaja, jako rzecz związana z obrzędami religijnymi, były ślicznie zdobione od najdawniejszych czasów. Są to, tak zwane, pisanki i kraszanki. Kraszanki, to jaja zabarwione jednym kolorem bez deseni, pisanki zaś są pokryte deseniami. Robią się one w ten sposób, że desień rysuje się woskiem na skorupce, poczem Jajo macza się w farbie: tam, gdzie woskiem pokryto, farba nie przylega, zabarwiając inne miejsca dokładnie. Po wyjęciu z farby zmywa się wosk i otrzymuje się rysunek. Dzisiaj jeszcze w niektórych okolicach kraju naszego dziew-

częta wiejskie, które wcale nie pokończyły szkół sztuki stosowanej, ani Akademji Sztuk pięknych i nie potrafią zupełnie rysować ołówkiem, a być może są analfaberkami, rysują prześliczne desenie na jajach wielkanocnych. Kilkanaście takich jaj z róż-

nych okolic naszego kraju podajemy dzisiaj naszym czytelnikom. Może piękny zwyczaj zdobienia jaj na Wielkanoc znajdzie wśród niektórych z nich zwolenników.

## POEZJE.

### KATARYNKA.

W zaułki kręte wielkiego miasta  
zmierch sypie modrość pawich piór.  
Słońce na szczytach wąskich domów  
usiadło, niby ptak gór,  
a z bruków ulic i z załomów  
noc już wyrasta.  
Słońce i noc — zmierzchu rapsodja,  
pieśń przeznaczenia wielkiego miasta.

Skąd ta melodia?...  
Gra zmierzch, gra słońce, grają ulice...  
I ja — gram:  
gram zwykłą pieśń na katarynce!  
Przystanę tam,  
gdzie najludniejsze są piwnice,  
opre na lasce mej, jedynce,  
pudło, nędzę zatąję i lic bładość —  
i gram, i gram... Zna korba mistrza.  
Nie widać mnie, ale słyszycie:  
wieczorną nędznych ludzi radość,  
mieszkańców piwnic stęchłych gwar  
i pogrzebanych dzwonów bicie,  
wszystko, co jest, i — czar —  
gram... Dłoń się rozbystrza.

Odwijam jakby wstęgę pieśni  
bez końca.  
Wreszcie... nie to... już nie rozumiem...  
Gram jak grajkowie jacy leśni —  
do słońca!  
Przestać nie mogę, nawet nie umiem...  
Polata pieśń z ulic w ulice,  
woła i czyni,  
otwiera pieśń wszystkie piwnice.  
Któż grajka wini?!...

Wsparty na lasce mej, jedynce,  
gram dziwną pieśń na katarynce.

Nie wiem też, kto, czy tłum czy noc  
wypadł na bruk, rozlał jak morze.  
Nie wiem, w kim moc:  
w tłumie czy w pieśni!  
Bo pieśń pochwyli w cugle zorze,  
a nędza z tłumem mnie zrówieśni.

Wsparty na lasce mej, jedynce,  
gram pieśń do zórz na katarynce.

Wacław Budzyński.

### MODLITWA.

Wszystkim, co krwią ociekli i co krew przeleli,  
Co przeszli przez tortury wojny wszechświatowej,  
I co nędzę przeżyli, lub nędzę rozsieli —  
Daj, Boże, dziś zrozumieć słowo Prawdy Nowej!

Zaś wszystkim, w których duch drży i kona w rozterce,  
Co sumienia w morderczym zatracili boju —  
Wróć, Boże, czyste, jasne, święte dziecka serce,  
I wiarę w Człowieczeństwo, i miłość pokoju!...

Andrzej Chmurny.





ANTONIO POLLAJUOLO.

HERAKLES, ZABIJAJĄCY HYDRĘ.



HERAKLES, DUSZĄCY ANTEUSZA.





ANTONIO POLLAJUOLO.

BITWA DZIESIĘCIU NAGICH WOJOWNIKÓW.

## Na tle zwyczajów wielkanocnych.

W każdym narodzie lud, stanowiąc najpotężniejszą, podwalinową warstwę społeczną, najmniej podlega wpływom zewnętrznym i tworzy zbiorowisko ludzi, na których myślenie i czucie nader silnie oddziałują potęga zwyczajów i tradycji. Z tej więc racji tworzy on silną ostoję dla pradawnych wierzeń i obrzędów, sięgających zamierzonych czasów pierwotności.

Rdzeniem warstwy ludowej są przedewszystkiem mieszkańcy wsi, którzy pozostają w najściślejszej łączności z matką ziemią. Dla nich życie wśród natury, połączyć ziemi uprawnej i wieś rodzinna niezadko są całym światem.

Otóż ta gromadna siła ludu najdłużej zachowuje nieskazitelność charakteru plemiennego, ożywiająca organizm całego narodu.

Bez owej przyrodzonej siły ludu naród nie posiadałby mocnych przycień bytu, ani ziemi, na której wyrasta zdrowy typ owej plemienności narodowej, objawiającej się głównie w języku i wspólnych obyczajach, tych najpierwotniejszych załączkach życia każdego narodu.

Wiele z pośród zwyczajów i obyczajów, istniejących obecnie wśród ludu, aczkolwiek pod wpływem chrześcijaństwa zostały znacznie przekształcone i dostosowane do kultu współczesnej religii, to jednak istota ich pochodzenia przy bliższem rozpatrzeniu sięga ery pogańskiej i odzwierciedla psychikę człowieka surowej pierwotności.

Do takich należy zaliczyć również zwyczaje i obrzędy Wielkanocne, z pośród których palma i dyngus zasługują na baczną uwagę.

Wiadomo, iż w palmie, którą lud palmową niedziele święci w kościołach, badacze ludoznawstwa dopatrują się szczątków pradawnej czci drzew, poświęcanych pewnym bóstwom.

Wyniosłe, starowieczne drzewa swym ogromem, sędziwością i użytecznością wywierały głębokie wrażenie na umysł człowieka pierwotnego, wywołując w nim uczucie pewnego lęku i uszanowania. Dostrzegał on, iż rośliny o pewnych porach roku zmieniają swą szatę: raz zapadają w długi sen zimowy, to znów się budzą, rozrastają i giną. Nic przeto dziwnego, iż począł dopatrywać się pewnego pokrewieństwa między sobą, a niemi i stopniowo tworzył na tem tle mnogie wierzenia, obrzędy spotykane zarówno u plemion pierwotnych, jak i u narodów świata starożytnego, a które w obłamowych szczątkach pozostały po dziś dzień.

Lud nasz naprz. nietylko otacza wciąż pewne rośliny, ale wprost je opiewa w pieśniach i obrzędach, zwłaszcza weselnych. Odbiciem owej czci jest również palma poświęcana w niedzielę nazywaną: Palmową, Wierzbną, lub wreszcie Różdżkową. Lud przypisuje palmie właściwości lecznicze i czarodziejskie.

Spożywanie nap. pączków palmowych ma chronić, według wierzenia ludowego, od bólu gardła, a uderzanie różdżką palmową bydła przy wypędzaniu go pierwszy raz w pole, chroni od czarów, a krowom przysparza mleka. Palma zatknięta za obrazy i sufity domów, głosi przesąd, ma chronić budynki od

pożarów. W tym wypadku posiada ona jak widzimy siłę amuletu\*), jest tarczą bezpieczeństwa przed grozą zjawisk natury, wobec której człowiek o nikłej kulturze czuje się bezsilny i bezradny.

Dla przykładu, dosadnie ilustrującego wiarę wkorzoną głęboko w szcep aryjski w pokrewieństwo człowieka ze światem roślinnym i jego uczucie panteistycznych, przytaczam za Gawelkiem średnowieczną legendę o przybieraniu barw przez pewne drzewa przy oplakiwaniu śmierci Chrystusa.

„Gdy po śmierci Chrystusa cała natura pogrążona była w smutku, sosna wyrzekła: „On umarł, więc na znak żałoby przybiorę ciemny kolor i szukać będę miejsc odludnych.

Wierzbababilońska, posłyszawszy straszną wieść z Golgoty, westchnęła: „On umarł, teraz smutne moje gałęzie zwieszać się będą zawsze ku wodom Eufratu i płakać łzami jutrzeńki.

Cedr jęknął: „On umarł, odtąd ocieniać będę tylko groby, i ani dzikie gołębie, ani piegrze nie będą słały gniazd na moich gałęziach.

Cis się odezwał: „On umarł, teraz będę rósł tylko na cmentarzach, pszczoła pod karą śmierci nie dotknie się moich zatrutych kwiatów, a ptaki w mych gałęziach śpiewać nie będą.

Kwiat fryzu rzekł: „On umarł, więc na zawsze pokryję fioletem swój złoty kielich, i nosić będę wieczną żałobę.

Jedynie tylko dumna Topola pozostała niewzruszoną: „Cóż mnie to obchodzi?—wyrzekła. On zmarł z powodu grzeszników, a ja jestem niewinna, zostanę taką, jaką byłam.

I za ten brak czucia, liście topoli skazane są na ciągłe drżenie.

Obok pisanek — kraszanek, występujących na tle świąt wielkanocnych, zachował się starodawny zwyczaj oblewania się wodą w drugim dniu Wielkanocy. Zwyczaj ten lud nasz nazywa: śmigusem, dyngusem (wyrazy pochodzenia niemieckiego), lub dniem św. Lejka, oblewanką, polewanką.

W onym zwyczaju przezierają również błyski pradawnej czci wody, która u wszystkich ludów na ziemi uchodziła zawsze za symbol oczyszczający.

Człowiek, ubóstwiając siły przyrody razem z nią w czasie wiosennym wstępował jakby w nowy okres życia. Widząc jej odnawianie się z drzemoty i zrzućcie brudów zimy również i sam starał się odnowić i oczyścić na duszy i ciele. Cześć dla wody do tego stopnia jeszcze dziś się zachowała, iż lud uważa wprost za grzech wrzucać do wody coś nieczystego. Przy pomocy wody uroki odpędza się, wodą polewa się każde nowokupione bydło, by je zabezpieczyć przed chorobami i „złym wzrokiem“, wodą obmywa się oczy przy pierwszym zobaczeniu jaskółki na wiosnę, aby były zdrowe; woda, według wiary ludu, ma związek ze światem zaziemskim, bo dusza po wyjściu z ciała musi się w niej obmyć i z tej

racji naprz. u Kałmuków Dońskich, nie piją wody z rana, gdy w sąsiedniej chacie leży umarły.

Władze Kościelne już w XV wieku ostro występowały u nas w Polsce przeciwko zwyczajowi oblewania się. Naprzykład Synod djeceji Poznańskiej w 1420 r., postanawia w art. XXXIV: „Zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet a kobiety mężczyźni nie ważyli się napastować o jaja i inne podarunki, ani do wody ciągnąć“.

Siła zwyczaju okazała się niezłomną. Kitowicz znów pisze o Dyngusie z czasów saskich:

„Była to swawola powszechna w całym kraju tak między pospółstwem, jako też między dystyngowanymi; w poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewali wodą kobiety, a we wtorek i w dni następujące kobiety mężczyźni”, bo jak głosiło stare przysłowie:

„Od Wielkiejnocy do Zielonych Świątek  
Można dać śmigus nawet i w piątek“.

A obecnie na Kujawach chłopcy i dziewczęta zabawiając się oblewaniem „do suchej nitki” dziarsko pośpiewują:

„Lej, Lej—to jest stare dzieje,  
Co to za chłopak co dziewczuchy nie obleje“.

I zwyczaj ten nadal trwa niezwykłym. Lud wsi objawia go w oblewaniu się kubłami świeżej wody studziennej, a ludność miejska w dyskretnym skra-

pianiu się... perfumami. Istota jednak ta sama, jeno formy odmienne i wydelikaczone.

Ongi u nas w Polsce do końca XVII wieku istniały również Misterja pobożne o Męce Pańskiej, lecz pamięć o nich obecnie zatarała się niemal całkowicie. Echa owych misterjów zachowały się w zwyczaju włóczenia bałwana Judaszowego w Wielki Czwartek po wsiach w Sandomierszczyźnie, oraz urządzania straży „rycerskiej” przy grobie Chrystusowym w niektórych miejskich kościołkach.

Ongi odbywano również pochody żaków odgrywających sceny Męki Pańskiej.

Kroczył sobie taki żaczek przebrany za Chrystusa w koronie cierniowej, z łańcuchami i dzwigał wielki krzyż, a żołnierze płazowali go szablami, wołając: „Postępuj Jezu”. Pozostałości owych widowisk tu i owdzie po zakątkach wiosek zapadłych zachowały się, większa jednak część żyje jeno we wspomnieniach: opowiadają o nich dawne raptularze i pyłem oprószone kroniki.

Dziś ze świętem Zmartwychwstania łączy się idea wcielania w życie prawdy i sprawiedliwości. Dawne echa przeszłości choć zamierają, to na ich miejsce występują orkiestry nowe, o sile potężnej, utajonej i głoszą światu odwieczne prawdy tęsknoty ludzkiej: Miłowaniu człowieka i jego pragnień.

Antoni Langer.

## S t u k a.



zem Grecja była dla świata cywilizowanego w starożytności, t. j. krainą, z której promieniowała zadziwiająco bujna i obfita twórczość artystyczna, która rozrosła ze skromnych początków we wspaniałą, pełną sztukę, obejmującą sobą architekturę, rzeźbę, malarstwo i przemysł artystyczny, tem przy końcu wieków średnich i na początku czasów nowożytnych stały się Włochy.

Ogromny rozkwit rękodzieł i sztuk, wytworzonych wówczas we Włoszech, promieniuje dotąd na świat cały i oddziaływa swym, rzemożnym wpływem na twórczość artystyczną wszystkich ludów. We wszystkich, nawet małych włoskich miasteczkach, powstały wspaniałe budowle publiczne — tworzone nowe kształty architektoniczne i wysilano się w szlachetnym spółzawodnictwie, aby życie każdego miasta znalazło swój nowy i najpełniejszy wyraz w sztuce.

Jednym z ognisk, w którym sztuka rozwijała się najwspanialej, gdzie żył cały szereg pierwszorzędnych twórców, będących jakby ognistymi słupami natchnienia — była Florencja. Tam wśród całej masy dobrych rękodzielników i artystów żyli i działali w ciągu wieków tacy tytani jak Giotto, Masaccio,

Michał Anioł i Leonardo da Vinci. Tam właśnie życie swe przeżyli i lwią część swych prac zostawili — dwaj malarze, których dzieła dzisiaj ukazujemy naszym czytelnikom.

„Życie mija — sztuka trwa wieczyście” — mówi przysłowie. O ile ono jest słuszne, okazują to dzieła malowane przed setkami lat, a przemawiające do nas z siłą i świeżością taką, jakby stworzone były współcześnie.

Jednym z tych dawnych twórców, który żył od r. 1429 — 1498 we Florencji, był Antonio Pollajuolo, znakomity giser, rzeźbiarz, malarz oraz badacz anatomji ciała ludzkiego i konia. Jako giser znał i uprawiał najtrudniejsze sposoby odlewnicze, szczególnie t. zw. odlew na stracony wosk, dzisiaj już mało używany dla swej kosztowności — jako rzeźbiarz zostawił wiele posążków z brązu lanych przez siebie. Prócz jednak tych prac Pollajuolo, jak wielu ówczesnych rękodzielników, był malarzem i miedziorytnikiem. A był to malarz doskonały. Dzieła jego zdążają w dwóch kierunkach, jedne z nich poczęte są z głębokiego, duchowego spokoju i te niosą nam w sobie powagę, majestat i ciszę — inne są wyrazem szalonych zmagani się i walk, wrogich sobie i wzajemnie chcących się unicestwić mocy i te mają w sobie gwałtowny, doprowadzony do osta-

tecznych granic możliwości ruch, rozmach i jakąś zajadłą, namiętą zaciekłość. Pollajuolo, znawca doskonałości anatomji, przedstawia w tych walkach ludzi nagich i w ich gwałtownych ruchach uwydatnia świetnie grę mięśni naprężonych, ciał, wysiłających się w śmiertelnych zmaganiach. Rysunek ma jasny, mocny i wnikający we wszelkie istotne cechy konstrukcji ludzkiego ciała — wyrazy twarzy oraz całych postaci w tych dziełach walki gwałtowne są i mówią nam o jakiejś już ostatecznej pasji.

Chcąc stworzyć cykl bohaterskich wysiłków i zmagañ wziął sobie za temat czyny Heraklesa, bohatera Grecji Starożytnej. Dwa obrazki z tego cyklu, które znajdują się w Muzeum Uffizzi we Florencji — dzisiaj reprodukuje. Jest to Herakles, zabijający Hydre i Herakles, duszący Anteusza. Zabicie Hydry to był jeden z dwunastu bohaterskich czynów Heraklesa. Hydra, był to straszliwy potwór o siedmiu ziejących ogniem paszczach, które odcięte odrastały wciąż na nowo. Potwór był więc, jak mówi legenda, nieśmiertelny i zatruwał swem tchnieniem jadowitym życie całego kraju. Zabić go mógł ten, kto jednym uderzeniem zmiążdżył wszystkie głowy gadu, Czynu tego dokonał Herakles, jednym uderzeniem maczugi, strzaskawszy całkowicie Hydre.

Pollajuolo przedstawił bohatera w chwili najwyższego napięcia sił. W pustynnej, smętnej okolicy, przez którą wije się martwa rzeka, odbywa się walka. Hydra wściekle rzuca się na Heraklesa, a on schwyciwszy jeden z wciąż odradzających się łbów, zamachuje się w szalonym ruchu, by zadać jej cios śmiertelny.

Na drugim obrazie przedstawiony jest Herakles, dławiący Anteusza. Anteusz, był to olbrzym, syn Ziemi i Morza, który mieszkał w jaskini w Libji. Pokarmem jego były lwy, zabijał on ludzi, którzy zaszli w dziedzinę jego panowania i z czaszek ich budował pałac dla ojca swego. Nikt go zwyciężyć nie mógł. Przyczyną tych niezwykłych jego sił — była matka jego Ziemia (Gea), która je wciąż podsycała swemi niewyczerpanemi mocami. Dlatego Anteusza mógł zwyciężyć tylko ten, kto zdołał go oderwać od ziemi. Tę jego tajemnicę odgadł Herakles i, schwyciwszy olbrzyma, uniósł go w powietrze. Wówczas już Anteusz, oderwany od swej słodajnej macierzy nie mógł się bronić potężnemu uściskowi bohatera, który go też zadusił.

Z nadzwyczajną siłą Pollajuolo wyraził w tym obrazie śmiertelne zmaganie się bohaterskiego półboga z potwornym olbrzymem. Jest w tym obrazie wyrażona straszliwa siła uścisku Heraklesa, gwałtowne szarpanie się dławionego Anteusza i jego wrzask, pełen wściekłej rozpacz.

Ci ludzie, splątani ze sobą w zapamiętałym uścisku bojowym — są jak gdyby symbolem nieustannej, wiecznej walki między różnemi sprzecznymi ideami.

Trzeci obraz Pollajuola, tu dzisiaj podany, — to bitwa dziesięciu nagich wojowników. Jest to jeden z pierwszych miedziorytów, jakie zostały na świecie wykonane. Przedstawia on, w gąszczu jakichś zarośli, walczących, rozpętanych niewolników — jest to gwałtowna, śmiertelna walka wszystkich przeciwko wszystkim. Widzimy tu ogromne bogactwo ruchów z uwydatnieniem napiętych w wielkim wysiłku mięśni, kompozycję rytmiczną, w której rytownikowi szło o względnie równomierne wypełnienie płaszczyzny obrazu — całą skalę wyrazów — od wściekłego okrucieństwa aż do bezwładnego, śmiertelnego uśmiechu.

Prócz tych pełnych energii i siły dzieł Pollajuoli reprodukuje dzisiaj obraz Sandra Botticelli (1446—1510) jego ucznia, który był jednym z największych malarzy włoskich.

Obraz ten jest uzmysłowaniem zwycięstwa odniesionego przez ideową duchową siłę nad brutalną, ohydą przemocą zła. Ciemne siły zła przedstawione są w potwornej głowie zabitego Holofernesa, niesionej przez służebnicę — jako świadectwo spełnionego czynu, za postępującą naprzód bohaterką Judytą. Obraz ten to arcydzieło Botticelle'go, aczkolwiek malując go był jeszcze młodzieniaszkiem. Radosna, młodzieńcza, jakby w przeczystej swej duszy nieświadomą była straszliwości popełnionego mordu, idzie, płynie lekko i swobodnie Judyta, niosąc w dłoni gałązkę oliwną dla zwiastowania narodowi swemu wyzwolenia z nękażącej go potęgi obcego najeźdźcy.

Gdy kończymy te krótkie uwagi o znanych nam i oglądanych ongiś z zachwytem w ich ojczyźnie, pięknej Florencji, obrazach — nasuwają się nam na pamięć tajemnicze słowa Cyprjana Norwida o pięknie:

„Piękno jest aby zachwycało do pracy —  
„Praca, by się zmartwychwstało“.

Jan R.

# Świat w obrazkach.

## Życie na północy.



Indjanka z dzieckiem  
(Kanada, Ameryka  
północna).



Do wszelkich wypraw Indjanie kanadyjscy  
używają sań, zaprzężonych w psy.



Szałasy mieszkalne  
Indjan na północy  
Ameryki.

## Życie na południu.



Łódź na rzece Parangura (dopływ Amazonki) w południowej  
Ameryce.



Indjanin z południowej Ameryki, tatuowany przed udaniem się w podróż. Według ilości i formy szkarłatnych znaków na twarzy Indjanina, można zawsze określić, do jakiego plemienia on należy, to też znaki te odgrywają dla krajowców rolę „paszportu”.



Domostwo w dziewiczych lasach Ameryki. Mieszkańcy takich chat żyją w zupełnym odosobnieniu, np. jeden z krajowców, przedstawionych na rycinie, przez trzy lata nie widział żadnego żywego człowieka.



Dwunastoletni chłopiec, należący do jednego z południowych plemion indyjskich. Chorobliwe opuchnięcie, skutek przejedzenia się zielonymi bananami.

## POKŁOSIE POLITYCZNE.

Kontrrewolucja niemiecka jest złamana i było to dziełem — robotników. Zapamiętajmy sobie ten szczegół, o którym po latach historycy będą pisali tomy. Awanturnicy z pod znaku Wilhelma i Ludendorffa wychodzili z założenia, że proletarijat niemiecki jest zmęczony i rozdarty, zmęczony walkami na zewnątrz i na wewnątrz klasy robotniczej, które wypełniły całą pierwszą połowę pierwszego roku republiki niemieckiej. Rozdarty niesnaskami i walkami grup które się „rozłamały“. Przedstawiciele tych grup sami ostrzegali, że na wznowienie walki liczyć nie należy. Tak Crispian, przywódca niezależnych ostrzegł przywódcę bolszewików francuskich Frossard'a w listopadzie r. z. Wystarczyło zamachu wykonanego przez awanturników na wolność republiki, aby szeregi robotnicze nanowo się zbliżyły, aby przywódcy rozłamów zostali w tyle: stanęły nie tylko fabryki i zakłady użyteczności publicznej, ale stanęły na ulicach barykady. Trwało to dni kilka zaledwie, a dziś Kapp szuka schronienia w Danji, a w Westfalii i w dolinie Renu ogłoszono nawet „Sowiety“. Ogłoszono nawet ponoć republikę niezależną Westfalii. Może to i twory efemeryzmu. W Berlinie rząd dawny Bauera i Eberta nosi nazwę rządu Hermana Müllera i Eberta. Jest to rząd podobny do dawnego: obejmuje kilka grup mieszczańskich ostrzydlonych socjalistami z pod znaku Scheidemana. Czy ten rząd będzie trwał? Francja i Anglia wypowiedziały się podobno za nim. Demokracje Zachodu chcą słabych Niemiec i wieleby dały, gdyby Niemcy chcieli wrócić do czasów z przed roku 1870 to jest do Niemiec podzielonych na poszczególne, niezależne państwa i państewka i samym tym podziałem słabe. Ale jednocześnie Demokracje Zachodu chciałyby, aby kontrybucja wojenna i odszkodowania były opłacane wedle nakazów traktatu Wersalskiego, a tym zobowiązaniom sprostać mogą tylko Niemcy silne i zjednoczone. Boją się także — bolszewizmu niemieckiego i dlatego będą broniły rządu Müllera i Eberta, w którym zasiadają konserwatyści kapitału, rzemiosł i pracy. To są powody, dla których przyszłość tego rządu wydaje się zapewniona. Dzienniki socjalistyczne francuskie, jeszcze pod datą 25-go marca (dziś nadeszły do Warszawy) widzą raczej inny obraz przyszłych Niemiec; widzą tam rady i socjalizację i t. d. i t. d. W odległości oku tęskniącemu wszystko wydaje się patetyczne, wyolbrzymione. Są to raczej zwykłe zjawiska *fata morgana*. Jedno jest pewne: robotnik niemiecki zwyciężył junkra pruskiego (oby na zawsze!) i Prusy utracą domi-

nujący swój wpływ w Rzeszy niemieckiej. Niemcy i dziś są silne. Wbrew temu, co ludzie opowiadają, praca tam wre, kominy fabryczne są czynne, pracuje robotnik, dzieci uczęszczają do szkoły, w parlamencie uchwalają ważne i ciekawe ustawy społeczne. „Rady zakładowe“, niedawno uchwalone znajdują swoje zastosowanie tam wszędzie, gdzie ich niema.

We Francji Millerand zdobył raz jeszcze większość w Izbie Deputowanych dla swojej polityki. Klasa robotnicza francuska wypowiada się z dużą siłą przeciwko próbie narzucenia przymusowego rozjemstwa w sporach kapitału i pracy. Na kolejach zaprowadzono ośmiogodzinny dzień pracy. Stosunki we Francji są ciężkie. Za frank płacą w Szwajcarii 43 centy. Drożyzna we Francji wielka, coraz większa. Podatki są już olbrzymie, będą coraz większe. Liga Narodów zebrała się, radziła i odroczyła się. Przystąpiło do niej trzynaście państw neutralnych. Prezydent Senatu Bourgeois, który jest jednocześnie prezydentem Ligi stwierdził, że wbrew wszystkim puszczynom Liga rozwija się i umacnia swoje wpływy.

W Londynie zebrała się Rada stała Konferencji Międzynarodowej Pracy, w której zasiada i przedstawiciel Rzeczypospolitej Polskiej p. Franciszek Sokal. Konferencja zbierze się za kilka miesięcy i radzić będzie nad losem marynarzy. Później weźmie pod uwagę los robotników rolnych. Napiżemy o niej oddzielnie i obszernie.

Wiadomo, że Francja otrzymała po wojnie prawo opieki nad Syryją. Został tam wyprawiony (wedle wskazówek jezuitę Cottin'a) generał Gourand z armią pięćdziesięcioletnią. Syryja miała czekać tylko na generała i jego żołnierzy, aby poprzysiądz wierność dozwonną Francji. Teraz słyhać w Paryżu że i ostatnie posiedzenia Izby Deputowanych rozbrzmiewały skargami lewicy na ten temat, że Syryja nie chce słyseć o Francji, z wyjątkiem osiadłych tam... Jezuitów, że czekają tam Francję ciężkie przeprawy, że wojska jest za mało, że Generał żąda nowych posiłków i że duch tego wojska pozostawia wiele do życzenia. Turcja nie chce kapitulować. Będzie się broniła. Nietylko w Damaszku, ale Syrii będzie broniła w Marokku, w Algierze, w Kalkucie i na wyspie Cejlon. Znosi się na długie, uciążliwe i niebezpieczne dygresje wojenne. Tymczasem dziś czytamy, że Syryja ogłosiła już swoją niepodległość. Liban pójdzie za jej przykładem. Uczyni to wszak i Egipt. Zasada „stanowienia o sobie narodów“, przedostaje się i do innych części świata.

Rajmund Kucharski.

## Z TEATRÓW.

TEATR PRASKI: „Hulaj Dusza“, widowisko fantastyczno-czarodziejskie A. Walewskiego, wysnute z ludowej legendy o Twardowskim, który do dziś żyje w tradycji i stanowi jeden z najulubieńszych motywów ludowych.

Gdy księżyc wypływa na nowiu widzimy oczyma wiary poetyckiej cień wielkiego czarnoksiężnika, sunącego na swym księżycowym rydwanie po ciemnej tafli niebios. Teraz prawie równocześnie na deskach warszaw. teatrów pojawiły się dwie sztuki osnute na tej legendzie: Dramatyczny dał „Twardowskiego w piekle“, Praski wystawił „Hulaj Dusza“.

Teatr Praski nie żałował trudów przy wystawieniu sztuki i dał to wszystko, na co jego środki techniczne pozwalają. Były więc i czeluście piekielne z samym panem królem djabelskim, ubranym w pikielhaubę i doskonale ucharakteryzowanym na b. „Reisendekaisera“. — Może najlepszy to akt z całej sztuki, tembardziej, że utrzymywał go w charakterze p. Machalski, artysta, pelen swady, brawury, obdarzony silnym głosem i umiejący panować nad zespołem

Ważnym dowcipu miały różne aktualne wstawki, dotyczące znamennych momentów chwili dzisiejszej i kuplety pod adresem obecnych władców—paskarzy.

Artyści p. Frenkiel z prawdziwie djabelską zręcznością wywikał się z trudnej roli. I w charakterze i w grze i w mimice widać było pracę głęboko obmyślaną i szczęśliwie przeprowadzoną. Artysta to równie sumienny jak zdolny.

Cały zespół piekielny stanowił dobrane i z humorem bawiące się towarzystwo.— Malowniczym również jest obraz II, pakowanie z djablem. Trzeba tylko przytłumić zbyt jaskrawy szat czarownic. Jest za hałaśliwy, a wskutek tego traci charakter tajemniczości, niezbędny w scenach czarodziejsko-fantastycznych. Najslabiej wypadł może obraz piąty, który ze względu na treść winien być właśnie mocny i przejmujący. Wewnętrzna rozterka i rozpacz Zygmunta Augusta po stracie Barbary miały za mało charakteru i siły. A przytem uplanowanie obrazu było nietrafne. Należy inaczej ustawić i zniżyć podwyższenie, z którego Gąska śpiewa swą opowieść, a pacholę z lutnią nieco odsunąć i posadzić na karle, aby nie zastaniało śpiewającego. Wliza Barbary nie robiła najmniejszego wrażenia. Trzeba ten obraz inaczej opracować i uszczelniać.

Szkoda, że sam Twardowski miał w swoim przedstawieniu zbyt mało siły. Słowa: „Hulaj Dusza“, które Twardowski bierze jako motto, tchną desperacką chęcią użycia za wszelką cenę. Rozbudowana fantazja nie ma tu hamulca, jest jak orkan, który wszystko znosi i łamie po drodze. Musi tam być żywiołowy rozpęd, szalona moc, wicher namłotności i uczuć, a chwilami aż zawrotna głębia myśli. Tego w grze p. Janowskiego nie było.

Naogół biorąc, sztuka daje mile wrażenie i pozwala spędzić wieczór w sympatycznym nastroju.

HALLNA WILCZYŃSKA.

## NOTATKI.

### KULTURA BURŻUAZJI.

Złamał słowo honoru dane J. Piłsudskiemu. — Ukradł cudzy list.

Czytał cudzy prywatny list, pisany do żony autora.

Użył skradzionego listu, szantażując nim i podając go do publicznej wiadomości.

Kto ?

Posel do Sejmu Ustawodawczego.

Bohater i przywódca burżuazyjnego zamachu na Rząd Ludowy.

Członek Rady Miejskiej m. Warszawy.

Kogo on reprezentuje ?

Burżuazję, mieszczaństwo. Jest członkiem polskiego klubu mieszczańskiego w Sejmie. Prezesem sklepiarskiej organizacji: „Rozwoju“.

W panu Dymowskim, jak w najczystrzym zwierciadle, odbija się fizjonomia burżuazji. I nie tylko pewnych ich warstw, lecz całości, całej klasy rządzącej i posiadającej. — Bowiem czynny te nie wywołały potępienia. Bowiem pozostaje on nadal posłem, radcą i prezesem, bowiem znajomi podają mu rękę i przyjaźnielsko się doń uśmiechają. — Czyny pana posła Dymowskiego nie są więc czemś złem i godnym potępienia.

Taka jest kultura duchowa burżuazji u schyłku jej panowania.

### KWIATY.

Na piersi Kazłora złodzieja i mordercy członków Misji Rosyjskiego Czerwonego Krzyża, wśród okłasków zgromadzonej publiczności, padły rzucone czyjąś ręką kwiaty.

Świadomy, cyniczny morderca, opowiadający z radością o popełnionej zbrodni, zlizujący krew z bagnetu którym przekłół kobiety — znalazł gorący pokłask.

Czy na sali zebrala się zgraja opryszków zwyrodniałych i zbrodniarzy? Na pozór tak nie jest. Bowiem jaśniały tam eleganckie stroje dam z „towarzystwa“ i modne ubrania mężczyzn. Na sali była burżuazja. W istocie zaś, tak jest: — na sali zebrala się banda opryszków i okłaskiwala swego bohatera. Bohatera, mówię, gdyż śmiał on uczynić to czego oni pragnęli tylko, gdyż dokonał tego o czem oni tylko mogli marzyć. — Jeśli były jeszcze wątpliwości jakies na temat duchowej wartości naszych klas posiadających, dziś nie mogą one istnieć dla nikogo. Pozłom moralny tej klasy znalazł dobitny wyraz w owacji urządzonej Kaziorowi. — Kwiaty rzucone mu zakwitły na bagnisku moralnej zgnilizny, panującej w dzisiejszych stosunkach.

### U ROZSTAJNYCH DRÓG.

Sejm wypowiedział walkę klasie robotniczej. Uchwalił pośpiesznie, na gwałt, ustawę o militaryzacji kolei.

Ale każda ustawa, jeśli ma być normą życia, musi być wyrazem ustosunkowania się sił klasowych w społeczeństwie.

Próby tych sił jeszcze nie było. Próby tej uląkł się rząd i łagodnił treść usrawy wyjaśnieniami i obietnicami. Stało się tak w odpowiedzi na pierwszy odruch kolejarzy, ujawniony w demonstracyjnym strajku przeciw ustawie.

Ale te łagodzenia i obietnice na długo nie starczą.

Próba sił klasowych staje się u nas koniecznością. Z całą brutalnością pcha do niej burżuazja. Szykuje się nowa reakcyjna ustawa o pracy w zakładach użyteczności publicznej. Co się dziś załagodziło, jutro musi odżyć w żywiołowym wybuchu.

Stoimy dziś właśnie w tym zwrotnym momencie życia polskiego, kiedy prawo ma wchodzić w życie i musi przejść

jego ogólną próbę. Bowiem stosunek sił klasowych w Sejmie i poza nim nie jest jednakowy.

Burżuazja rozporządzając tysiącem środków oszukania mas ludowych, nie ma ani jednego sposobu zmuszenia ich do nalożenia sobie jarzma. Klasy posiadające, umiając wejść do Sejmu, nie potrafią zmusić proletariatu do posłuszeństwa wobec niego.

### Odpowiedzi Redakcji.

K. Czachowski w Miechowie. — Prosimy o przysłanie.

A. M. Nie możemy umieścić.

D. Chwał. Dziękujemy za serdeczne słowa.

Kazimierz Jaworski w Lublinie. — Utwory ważne zachowujemy w tece dla użytku.

### Od Administracji.

Wobec podrożenia cennika drukarskiego i wogóle znacznego zwiększenia kosztów wydawniczych, „Światło” zmuszone jest podnieść od 1 kwietnia cenę pojedynczego zeszytu do mk. 6.

Wobec powyższego warunki prenumeraty „Światła” są następujące: Miesięcznie 20 mk. Kwartalnie 60 mk. od Zesz. 1 do końca 1920 roku 200 mk.

### Do wszystkich prenumeratorów „Światła”.

Prosimy przysyłać należność za prenumeratę tylko za pomocą przekazów pocztowych, lub też czeków P. K. O., które na każde żądanie wysyła Administracja „Światła”. — Przesyłanie pieniędzy w listach utrudnia ogromnie ich odbiór z poczty, i przez to też spóźnia się ekspedycja pisma „Światło”.

## HUMOR I SATYRA.



Za silną konkurencją, Polak. — No, teraz to czuję, iż trzeba będzie zrezygnować z tej pięknej zatoki Gdańskiej, i przenieść się w błoto Puckie...

WARUNKI PRENUMERATY z przesyłką do domu: Od Zesz. 1-go do końca 1920 r. 200 mk. Kwartalnie 60 mk. Miesięcznie 20 mk. Konto czekowe P. K. O. № 798.

CENY OGŁOSZEŃ: Za jednoszpaltowy wiersz petitu lub jego miejsce: Na okładce: 2-ga i 3-cia str. — 6 mk.; 4-ta str. 5 mk. Na ostatniej stronie tekstu (tylko książki i wydawnictwa) 5 mk. Za całą stronę 150 wierszy — 20% taniej.

ADRES: REDAKCJI POLNA № 66, MIESZK. 54; ADMINISTRACJI WARECKA 7.

Redakcja otwarta codziennie od 5 — 6 wiecz. — Administracja czynna codziennie od 10—4 pp.

REDAKCJA: JAN HEMPEL, JAN REMBOWSKI, JERZY SOCHACKI, ANDRZEJ STRUG, ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca: Z. ZAREMBA. Kierownik literacki ANDRZEJ STRUG. Kierownik art. JAN REMBOWSKI.